

Tajemnice zmuszają do myślenia i dlatego szkodzą zdrowiu.
(Edgar Allan Poe)

J. S. poświęcam...

Pewnego razu, odwiedzając krewnego, u którego bawiłem w gościnie od dwóch dni, w małym, prowincjonalnym miasteczku, postanowiłem po obfitym, treściwym obiedzie, który składał się z kilku przepysznych dań i smakowitych przystawek, przejść się nieco po okolicy, by obejrzeć to i owo, gdyż miejsce to było mi prawie nieznane z powodu rzadkich tu przyjazdów.

Ubrałem się zatem pośpiesznie i na odchodnym rzuciłem, że za godzinę lub dwie będę z powrotem. Chciałem bowiem zaznać trochę ruchu, jako że moja wizyta u mych gospodarzy polegała głównie na ciągłej, pełnej pasji, konsumpcji przedniego jadła, od którego dosłownie ugiął się solidny, dębowy stół, oraz degustacji przeróżnych domowej roboty nalewek owocowych, od których zaczynała mnie już lekko poboлеwać głowa i męczyć zgaga.

Ku memu zdziwieniu dostrzegłem także, że i me ubrania stały się jakby ciasniejsze i z jakimś trudem się w nie wbijałem, każdego poranka mając mgliste przeczucie, że w mojej walce z tyciem jestem od przyjazdu tutaj na z góry straconej pozycji...

Wszystkie te powody, z gruntu istotne i niebłahe, sprawiły, że musiałem na jakiś czas oddalić się, by poczuć przez chwilę zbawczą moc wytchnienia wiedząc, że kiedy już będę miał pewność, iż odtajalem w stopniu bodaj średnim po naszych tęgich biesiadach, wtenczas wrócę do mego szanownego kuzyna i jego żony i zapewne wszystko zacznie się od nowa. Tego byłem pewien. Wśród urodzonych smakoszy, prawdziwych degustatorów z natury, nie istnieje bowiem pojęcie „przerwy” – jedzenie to najwyższa przyjemność i trzeba ją kontynuować od rana do wieczora, czasem tylko uciąć krótką drzemkę lub odbyć małą, pretensjonalną dyskusję o niczym, by po chwili siedzieć znów przy stole i oddawać się ukochanemu obżarstwu.

Moment ten należało jednak zawiesić w czasie, by nie doszło to groźnego w skutkach przesytu...

Stąd ma nagła koncepcja, by uczynić to, co sobie wówczas zamierzyłem.

Postanowiłem nawet zignorować dość istotny fakt, iż od kilku dni panowała paskudna, styczniowa odwilż, i pomimo wszystko śmiało ruszyć przed siebie, nie bacząc na zalegające dookoła ohydne błoto, które ma to do siebie, że nie zwracając najmniejszej uwagi na ogólnie przyjęte konwenanse, czepia się ludzkiego obuwia, profanując je swym podłym istnieniem.

Nie cierpiałem ponadto wilgoci, lecz i ją musiałem przyjąć bez szemrania do wiadomości.

Zamknąłem zatem za sobą drzwi i niebawem szedłem już nieznaną mi uliczką, opadającą pod sporym kątem w dół, krętą i wąską, przypominającą mi jakieś gdzieś już widziane wcześniej niewielkie zaułki, często spotykane pospolicie na południu Europy, pełne tajemniczości i rozbrzmiewające niemym echem dawnych czasów.

Wokoło nie było nikogo – tylko ja wybrałem się tego dnia o tej porze na spacer...

Zewsząd spoglądały na mnie lica leciwych murów, poszczerbionych i popękanych w tysiące szpar i przepuklin, szczerzących się liszajami odłupanego tynku, które niejedno już widziały, od stuleci obserwując bacznie bujną różnorodność postaci ludzkich, które przemykały tymi chodnikami i czynią to

nadal, nieświadome uważnego oka wiekowych budynków – świadków historii.

Przechodząc akurat koło jakiegoś niszczonego, spowitego wilgocią węgla, gdzie zwietrzały kamień odpadł kawałkami i zniekształcił ścianę, poczułem się, jakbym śnił sen, który jest jawą...

- To dziwne... - rzekłem do siebie, zapalając nieśpiesznie papierosa. – Przecież byłem tu już kiedyś i to miasteczko wydawało się nieco bardziej...nowoczesne. Pełne świateł i neonów. Może mi się zdaje... Ale nie sądziłem, że posiada aż tak wiele zabytkowych zakamarków... Przedtem powiew postępu, teraz powrót do korzeni? Jakaś metamorfoza w międzyczasie? Pewnie zwiedzałem tylko te lepsze dla oka, miejsca... Jednak wszystko, co stare i podniszczone, nie daje mi miłych wrażeń. Te starówki, te prehistoryczne wręcz deptaki... Jakież to odpychające. Obleśne wprost. Nie rozumiem tych wszystkich turystów, którzy ślinią się na widok czegoś takiego. Dla kogoś, kto czuje poczucie czasu, jest to osobliwy skansen, smętny i pusty. Ma się do świata realnego i idącego z duchem czasu, jak bezzębny koń do lotów kosmicznych. Przypomina omszały, wiekowy pień drzewa, który szanować można tylko ze względu na wiek, Mówię „nie” paleniu świeczek, wolę elektryczność!

Podążałem dalej spokojną uliczką, nie myśląc o niczym, gdyż wolny byłem w owej chwili od poważniejszych trosk, aż nagle i szybko, jakby stało się to za dotknięciem magicznej różdżki, dotarłem do czarnej, metalowej balustrady, śliskiej i nieprzyjemnej w dotyku, do złudzenia przypominającej gładzenie tłustego węgorka, gdzie ów niewielki, niepokazny trakt niewątpliwie kończył się i nakazywał zdecydowany odwrót.

Gdy podszedłem bliżej, dostrzegłem w mig, że w dole, na jakiejś potężnej, ponuro wyglądającej powierzchni, przypominającej średniej wielkości pole, znajduje się...cmentarz. Zwyczajny, pospolity cmentarz.

Jego widok mógł początkowo szokować, gdyż dla przypadkowego widza był nie lada zaskoczeniem, lecz nie trwało to długo. Wiadomość dotarła szybko. Przetrawiona i zanalizowana dała jednoznaczny wynik. Bezdyskusyjny. Do tego nie trzeba było geniusza. Czasem przekaz, choć niewerbalny, jest prawdą jedyną. Taka mała fotografia myśli i odczuć. Mrowie nagrobków, setki krzyży. Inna rzeczywistość.

To miejsce, gdzie nocą słychać szepty zmarłych, gdzie ich cienie w ciszy i skupieniu dotykają swych kamieni nagrobnych, zimnych i marmurowych, lecz niezapomnianych, bowiem pojęcie rodzenia się i zamierania to fikcja i kwestia względna. Każdy cmentarz oddycha. Ten także nie był inny. Był wszak częścią życia i świata. Elementem składowym bytu. Miejscem wiecznego spoczynku. Lecz czy śmierci? Na pewno oazą spokoju, która z innego świata czerpie swój spokój. Może wydawał się swymi rozmiarami nieco za duży, jak na tak niewielką miejscowość, ale widywało się już takie tu lub tam, gdziekolwiek słodka ziemia garnęła jak matka tych, którym oczy zamknięto na zawsze...

Niemniej jednak miałem mieszane uczucia, co do tego, co wówczas ujrzały me oczy. Osobliwe, co by nie mówić. Ostatecznie ktoś postanowił kiedyś o jego istnieniu i fakt ten stał się częścią historii. Teraz stałem oparty na oślizgłej balustradzie, gdzie wodnistość metalu mówiła mi jasno o realności zimy. Otrępywałem ją wraz z szarymi kroplami pośniegowej wody, która natrętnie wpęzła na moje dłonie i gdyby nie stanowcze ruchy z mej strony, miałbym ją na sobie nadal jak znak zgody na dominację pór roku nad wolą człowieczą. Stałem i wodziłem wzrokiem po tym, co majaczyło w dole. Po miejscu cichym i spokojnym. Uśpionym, lecz żywym. Spoglądałem na nie, na przestrzeń, gdzie jawa miesza się ze snem. Tego dnia, o tej, mimochodem wybranej, porze. Przypadkiem, bo wcale nie musiałem się tam znaleźć tamtego dnia. Tak się akurat złożyło. Mogłem wcale nie wychodzić z domu i biesiadować do upadłego. Zamiast myśli mogłem mieć w głowie wino. Albo rozmowy o tym, że córka sąsiada wierzy w latające spodki. I pełen brzuch mięsa, które choć wyborne, mogło nocą przyprawić mnie o szalone koszmary i gwałtowny upadek z łóżka na miękkie, kolorowe dywan moich zapobiegliwych przyjaciół, których ten problem najwyraźniej nie dotyczył.

Gdy minęła chwila zadumy, drgnąłem i rozejrzałem się dookoła.

Choć z wolna zbliżało się południe nigdzie nie dostrzegłem żywej duszy...

Nawet jeden przechodzień nie mignął mi wtenczas przed oczyma.

- Czyżby jeszcze spali?

Była wszak sobota, dzień, kiedy nie trzeba zrywać się z łóżka razem z pianiem koguta i można w przypiływie słodkiego lenistwa pozostać pod pierzyną nieco dłużej niż zwykle.

Zaakceptowałem naprędce taką ewentualność i ponownie zacząłem badawczo lustrować okolicę. Spoglądałem na lewo i na prawo, chodziłem energicznie wzdłuż balustrady, chwilami wychylając się poza nią, uparcie czegoś poszukując.

Zrazu zdawało mi się chyba, że robię to bezwiednie, lecz dość szybko pojawił się wniosek: szukałem zejścia na dół. Coś ciągnęło mnie do tego cmentarza. Chciałem go obejrzeć z bliska.

Wiedziałem, że nie oprę się tej pokusie. Była zbyt silna i zawładnęła absolutnie moją wolą.

Stojąc na wysokiej na kilkadziesiąt metrów skarpie nigdzie nie dostrzegłem kamiennych schodków, których spodziewałem się gdzieś niedaleko odkryć, jako naturalne zejście na dolną część miasteczka. Na próżno. Balustrada po jednej stronie kończyła się ceglanym niby murem – pozostałością jakiejś solidnie nadgryzionej zębem czasu wieżyczki lub czegoś podobnego, z drugiej zaś wrastała niemalże w ogromne, wiekowe drzewo, jedno z wielu w tej części skarpy, gdyż rośło ich tam przynajmniej kilkanaście.

Sytuacja wyglądała nieciekawie.

Poczułem nieokreślony smutek i mocno się zamyśliłem.

Oparty o nieprzyjemnie wilgotną barierkę obserwowałem w skupieniu teren cmentarza, wodząc spokojnym wzrokiem po drzemiących w wiecznym uśpieniu nagrobkach...

Tak powoli zżywałem się z myślą, że nie dane mi będzie zejść na dół.

Nie znając miasteczka, mogłem szukać zejścia i pół dnia, zdany na łaskę własnej intuicji lub na zmysł orientacji, co wcale mi się nie uśmiechało w chwili owej bezsilności i co niebawem zakończyło się rychłym powrotem do domu mych gospodarzy.

Wracalem niepocieszony i zły. Nie lubię przegrywać z prostego powodu, ponieważ nie umiem. Nie leży w mojej naturze łatwe rezygnowanie z podjętych zamierzeń, choćby wydawały się początkowo pozornie niedorzeczne lub niewyobrażalnie niewykonalne.

Nie zamierzałem zatem odpuszczać – jakaś moc tajemna ciągnęła mnie do tego cmentarza, do zwiedzenia go, natychmiast, od razu, bezzwłocznie, i co chciałem tu rzec, towarzyszyło mej chęci uczucie nieokreślonego lęku i czaru zarazem, czego nijak nie potrafiłem zrozumieć.

W nocy śniły mi się ciche alejki, wśród których szemrały bezgłośnie cienie zmarłych, tułające się w świetle księżyca, opowiadające historie ze swego życia, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, iż ono dawno temu ustało i teraz, z otchłani wieczności, należy spojrzeć na nie jak na sen prześniony...

Czułem woń dogasających lampek nagrobnych i starych, zasuszonych ziół, które ktoś palił na obrzeżach owego tajemniczego miejsca wiecznego spoczynku.

Gdy się rano obudziłem, w mej świadomości snuły się jeszcze senne widziadła i uczucie głębokiej melancholii wyrosło znienacka w głębi mej duszy.

Po obfitym śniadaniu i rozmowie o wszystkim i niczym, postanowiłem zasięgnąć języka od mego kuzyna, niby tak od niechcienia, jak dostać się do dolnej części miasteczka jak najkrótszą drogą, bowiem wymyśliwszy na poczekaniu powód, że muszę więcej się ruszać, aby się nie roztyć, nie chciałem zdradzać się z moim zamiarem zwiedzenia cmentarza. Kto wie, jakby to zostało odebrane. Pomysł wszak mógł wydać się dość dziwaczny... Było przecież tyle ciekawszych i bardziej radosnych miejsc do obejrzenia.

Nie potrzebowałem siał niezdrowej sensacji, więc prawdę zachowałem dla siebie.

Niełatwo było dotrzeć tam, gdzie się wybierałem. Prowadziła tam tylko jedna ulica, robiąca po drodze

ogromne koło, co wiązało się bezpośrednio z faktem, iż nie prowadziła tam w linii zbliżonej do prostej, a to z kolei oznaczało kilkukilometrowy spacer, który jako zbyt męczący, zważywszy także na porę roku, nie interesował mnie absolutnie.

Trzeba było wymyśleć inne wyjście z tej opresyjnej sytuacji.

Wracalem wielokrotnie pod balustradę i spoglądałem w dół na cmentarz w nadziei, że w międzyczasie wpadnę na jakiś ciekawy pomysł, jak w końcu rozwiązać mój „problem”.

Wysokość oceniłem na trzydzieści, może czterdzieści metrów. Góra opadała pod średnim kątem, równomiernie i bez żadnych pofałdowań. Gdzie niegdzie stok był kamienisty, by w innym miejscu być porośniętym drobnymi, bezlistnymi zimą krzakami i jakąś karłowatą formą niewielkich drzewek. W dwóch miejscach stwierdziłem obecność nieznacznych, kilkudziesięciocentymetrowych uskoków, niby ziemnych pól.

Mogło być gorzej, ale nie było. I to mnie właśnie ucieszyło. Gdybym miał pod sobą powierzchnię leżącą sto albo dwieście metrów niżej, wówczas można by mówić o poważnym problemie. Byłem coraz bliżej ostatecznego rozwiązania. Jeszcze tylko chwila, może dwie...

W trakcie naszych biesiad starałem się dużo jeść, aby moje pozorne obżarstwo rzuciło się mym gospodarzom w oczy i abym miał później pretekst, by wymykać się z domu w celu dalszej obserwacji terenu za balustradą. Piłem niewiele, dolewając ochoczo memu kuzynowi i jego żonie. Musiałem mieć trzeźwy osąd sytuacji, a do tego potrzebowałem trzeźwej głowy.

Oni zdrowo podchmieleni nawet nie dziwili się zbytnio, kiedy każdego dnia znikalem na wiele godzin, pomimo iż na dworze pogoda była pod psem. Mnie to nie zraziło. Nie mogło...

Czasem chcieli mi towarzyszyć, ale szybko im to odradzałem, tłumacząc cierpliwie i taktownie, że przemierzam całe kilometry w trakcie jednego spaceru, krokiem energicznym i szybkim, bez trudu i lekko, na co oni nie mieliby żadnych szans, będąc osobnikami prowadzącymi osiadły tryb życia, posiadający sporą nadwagę i nieprzyzwyczajeni do większego wysiłku fizycznego.

Nie protestowali – o konsensus nie było więc trudno.

Każdego dnia tam wracałem.

Lustrowałem przenikliwie każdy metr stoku na szerokości około pięćdziesięciu metrów, wybierając do tej czynności porę dzienną, by mieć dobre oświetlenie i tym samym wgląd w faktyczny stan rzeczy.

Po pięciu dniach znałem już to miejsce jak własną kieszeń.

Tamtego wieczora, po gigantycznej kolacji, składającej się z trzech dań, ciasta i dwóch butelek tęgiej nalewki porzeczkowej, po których zaśpiewaliśmy gromkim głosem kilka wesołych piosenek biesiadnych, rozeszliśmy się do swych pokoi, by oddać się we władanie Morfeusza, lecz mnie jakoś nie chciało się jeszcze spać – w głowie gotowało mi się od myślenia.

Zapaliwszy światło, usiadłem zamyślony na łóżku i ukryłem twarz w dłoniach. Kiedy po dłuższym czasie opuściłem ręce i wyrząłem przez okno, na niebie świecił już księżyc.

Nie wiadomo kiedy zapadła noc.

Wróciłem na łóżko i zacząłem bezmyślnie rozglądać się po pokoju, nie wiedząc nawet, czemu to czynię i wtedy, nagle i niespodziewanie, rzuciłem badawcze spojrzenie na balkon.

Była zima, więc nie był wcale używany. Pomimo to sznur do suszenia prania rozpięty był na nim nadal. Biał, mocny sznur...

Podszedłem bliżej i przyjrzałem mu się, jakby był złudzeniem, by nabrać pewności, że oko mnie nie myli. Ów rekwizyt okazał się prawdziwy. Nawet go dotknąłem. Najpierw jedną ręką, potem drugą. Musiałem się upewnić. Ta wskazówka nie mogła być ułudą.

Kiedy już zamknąłem balkon, wiedziałem już to, co chciałem wiedzieć.

- A więc wszystko jasne...

W tej samej chwili naszła mnie także inna, nurtująca mnie co jakiś czas myśl: skąd to uporczywe,

niewytłumaczalne zainteresowanie tym cmentarzem? Ta gwałtowna, przemożna potrzeba znalezienia się na nim? I moja bezsilność wobec tego niepojętego przymusu. Przecież brzmi to cokolwiek dziwacznie. Wręcz groteskowo. Wokoło tyle pięknych, wartych obejrzenia atrakcji, a mnie ciągnie coś na cmentarne alejki? W całym swym życiu omijałem te miejsce, będąc na nim tylko w wyjątkowych sytuacjach, kiedy chowano kogoś mi bliskiego. Nie zdarzało się to często, więc i moje wizyty na cmentarnej ziemi można by policzyć na palcach jednej ręki. Lecz teraz najwyraźniej coś się zmieniło, coś bez wątpienia zmienia się we mnie samym...

- Nie wyjadę stąd, jeśli tam nie pójde...

I raz jeszcze wyszedłem na balkon obejrzeć sznur.

Kiedy później z trudem zasypiałem, nie miałem cienia wątpliwości, co zrobię następnego dnia, zaraz po śniadaniu...

Po pojawieniu się nazajutrz w kuchni, po raz kolejny dokonałem poważnego spustoszenia na licznych talerzach z jadłem, wypilem nawet kieliszek jakiejś nowej nalewki i wiedząc, jak wiarygodnie to musiało z boku wyglądać, rzekłem wesoło moim gospodarzom, że idę na spacer spalić nieco kalorii i niebawem wrócę na obiad, gdyż nie mogę już doczekać się pieczeni z dzika, która miała wjechać na stół w odpowiedniej chwili.

Pożegnał mnie ich jowialny uśmiech znad stołu, którego nie zamierzali tak szybko opuszczać, jak ja to uczyniłem.

Nie minęła nawet godzina, a ja mogłem poczuć się już jak zwyczajca. Byłem z siebie dumny, jak rzadko kiedy bywałem. Wszystko szło jak po maśle. Nie żałowałem niczego i nic mnie już nie dziwiło. Nie obchodziło mnie wcale, że do właściwych wniosków dochodziłem przez sześć dni i nocy. Liczył się efekt końcowy, lub to, co miało nim wkrótce być...

Kupiłem czterdzieści metrów – to wystarczająca długość.

Teraz mogłem być już spokojny, bowiem nic nie stało mi już na drodze...

W mych rękach trzymałem najważniejszy rekwizyt.

Był naprawdę solidny, tworzyły go dwa potężnej grubości, czarne sploty nieznanego mi bliżej materiału, dające mu średnicę ponad trzech centymetrów, i było w nim coś jeszcze, co pewnie tylko ja wówczas dostrzegłem – miał w sobie coś magicznego, lecz skąd mi to wtedy przyszło do głowy, nie umiem powiedzieć...

Tak przemknęło mi to przez umysł.

Zwykły sznur, ale jednak nie do końca...

Przynajmniej dla mnie.

Wtedy, tamtego dnia...

Kazałem zapakować go do wielkiej, plastikowej torby i gdy już byłem pod domem mych gospodarzy, ujrzałem ich z oddali, jak siedzieli radośnie przy stole zapatrzeni w talerze, co z kolei dało mi pewne fory, a mianowicie mogłem cichaczem wejść na posesję i ukryć gdzieś spokojnie mój nabytek. O jego istnieniu, rzecz jasna, nie zamierzałem nikogo informować.

O moich planach również. Nie potrzebny był mi zbyteczny, bezużyteczny rozgłos oraz niekończące się pytania, zadawane w atmosferze taniej, niezdrowej sensacji.

Wnet dostrzegłem kupę zeszłorocznych liści, znajdującą się w głębi podwórza i to właśnie tam, wygrzebawszy sporą dziurę, a potem ją zasypawszy, schowałem mój sznur.

Był bezpieczny.

Teraz wróciłem z uśmiechem na twarzy do domu i po jakimś kwadransie jedliśmy już obiecaną pieczeń z dzika, którą moi dobrodzieje zdążyli już wcześniej spróbować pod pretekstem sprawdzenia, czy aby jest już miękka i nadaje się do degustacji, co w ich przypadku bynajmniej nie zabrzmiało prawdziwie, a co z miejsca im wybaczyłem.

Na stole pojawiła się również spora karafka z wiśniową nalewką, więc oznaczało to jednoznacznie, że nadszedł czas, by rozpocząć biesiadę i dać upust człowieczej żądzy jedzenia i picia.

Jako że dość szybko zorientowałem się, że ów boski napój jest piekielnie mocny, o wiele mocniejszy niż te, które pijaliśmy poprzednio, wziąłem się na sposób, aby się nie upić.

Ponieważ siedziałem koło potężnej donicy z równie potężną palmą, w chwilach, gdy moi gospodarze zajęci byli pochłanianiem kolejnych porcji pożywienia, ja z premedytacją wylewałem zawartość mego kieliszka do owej donicy, udając, że piję jak oni, nie wylewając za kołnierz, gdyż od tego miałem co innego.

Ostatecznie miałem zgoła inny plan na ten wieczór...

Nic i nikt nie mogło mnie już od niego odwieść.

Nie minęły dwie godziny, kiedy towarzystwo zaczęło mówić coraz mniej wyraźnie, wręcz bełkotliwie, coraz mniej jeść, a więcej pić, aż w końcu nadeszła chwila, w której pan domu, bezceremonialnie i bez żenady, po wyrzuceniu z gardła serii nieokreślonych bliżej zgłosek, a raczej ich bezładnej plątaniny, zleął ciężko twarzą na stole wśród mięsiwa i sałatek, i w tej swojskiej pozie zasnął snem twardym, a mocnym. Jego żona, zatoczywszy się okrutnie po próbie podniesienia się na równe nogi, padła jak stukilowa kłoda na stojącą nieopodal kanapę i poszła wnet w ślady męża.

Po chwili pokój wypełniało już tylko głośnie i warkotliwe chrapanie.

Był to najlepszy moment, aby się ulotnić.

Pośpiesznie ubrawszy się, ruszyłem w kierunku kupy zeschniętych liści – liczyła się każda minuta.

Wiedziałem, że wkrótce zacznie się ściemniać. Niebawem miała zapaść noc. Ciemna i wilgotna. Dobrze, że nie było mrozu, ani nie padał deszcz. Źle by mi się szło w szarugę...

Chciałem być na miejscu jeszcze za dnia. Noc nie dałaby mi odpowiedzi. Miałem zatem niewiele czasu.

Wtedy po raz kolejny poczułem niespodziewanie, że to coś niezwykłego, wręcz nieziemskiego, w czym nigdy wcześniej nie brałem udziału i w czym nigdy później już nie wezmę. Czemu to „coś” aż tak przyparło mnie do muru? Skąd to nadeszło i dlaczego moja silna dotąd wola wcale się tu nie liczyła? Poczułem wtenczas, czym jest natrętna potrzeba. Siła, która mną tego dnia kierowała. Stałem się jej więźniem. Coraz bardziej pchała mnie do działania, coraz bardziej jej nie rozumiałem.

Znów odezwał się we mnie ów przymus zwiedzenia cmentarza, z siłą, jakiej się nie spodziewałem...

- Po co tam idę? Czemu tak wybrałem? Dlaczego się temu nie oprę?

Słońce za godzinę lub dwie miało chylić się ku zachodowi, kiedy sprężystym krokiem szedłem tam, gdzie musiałem być wcześniej czy później, bo myśl, która wyrosła w moim mózgu, by to uczynić, pozostała i wiedziałem, że nigdy już mnie nie opuści.

Co miałem zobaczyć, co przeżyć, czego doznać na zwykłym, prowincjonalnym cmentarzu, tego wówczas wiedzieć nie mogłem. Była tylko ta pewność, że mam tam dotrzeć.

Gdy w końcu dotarłem do wilgotnej, oślizgłej balustrady i zorientowałem się, że wokoło ni żywej duszy, wyjąłem z torby sznur, rozwinąłem go, mocno zadzierzgnąłem pętlę, i przełożywszy ją przez barierkę w miejscu najmniej rzucającym się w oczy, a mianowicie w okolicy, gdzie rosły wielkie, stare drzewa, wsunąłem w nią koniec sznura, i zacisnąwszy go zdecydowanym pociągnięciem, spuściłem swobodnie wzdłuż skarpy.

Teraz mogłem bezpiecznie zejść w dół – tak wytrzymała lina mogłaby utrzymać trzech takich jak ja, więc byłem pewien, że po drodze nic mnie nie zaskoczy.

Co z myśli, to z głowy!

Bez wahania przeskoczyłem przez metalową zaporę i chwyciłem oburącz sznur.

Nadszedł czas, by działać, jako że mało dnia mi pozostało.

Zniknęły wątpliwości – zawsze byłem człowiekiem czynu, obce mi było niezdecydowanie.

Bez pośpiechu, zapierając się mocno nogami o grunt, zsuwałem się wzdłuż stoku, po kilkadziesiąt

centymetrów za jednym razem, bez pośpiechu, spokojnie, gdyż wiedziałem, że nie potrwa to długo i za chwilę będę już na dole.

Miałem solidne buty z solidnym bieżnikiem, w sam raz na lód, śnieg i zimową porę.

Nie drażnił mnie nawet fakt, a sądzę, że powinien, iż przy okazji tego, w czym właśnie biorę udział, brudzę okrutnie swe eleganckie ubranie – spodnie, które kosztowały naprawdę sporo i płaszcz, za który zapłaciłem jeszcze więcej.

Czasem zjeżdżałem na metr czy dwa pod wpływem nagłego poślizgu, wisząc dość pokracznie w powietrzu przez kilka sekund, lecz naprężwszy natychmiast silnie linę, mogłem bez trudu kontrolować mą powolną wędrówkę w dół.

Czy trwało to pięć minut, czy siedem, nie powiem – w takich chwilach traci się poczucie czasu i liczy się tylko sama istota wykonywanej czynności. Trwało to krócej, niż zakładałem. Sam nie wiem, kiedy było już po wszystkim. Nawet długość sznura wyliczyłem idealnie!

Dałem radę...

Nikt mnie nie widział.

W chwili, kiedy moje stopy dotknęły twardego podłoża, poczułem się zwycięzcą raz jeszcze.

Sznur zwisał beładnie, kiedy po chwili, którą nazwałbym „trzeźwą oceną sytuacji” powoli zbliżałem się do ogrodzenia cmentarza, nie wiedząc nawet, czemu to czynię...

Powiedzieć, że nogi niosły mnie same byłoby zbyt wielkim uproszczeniem...

Zerknąłem na zegarek – była 14.36.

Mdle słońce nadal tkwiło gdzieś w chmurach – nie chciałem błędzić wśród nagrobków po nocy!

Nigdy nie byłem człowiekiem na tyle odważnym lub może na tyle szalonym, by tego czy innego dnia przebywać po zmroku wśród zmarłych... Woląłem nie prowokować losu. Nie miałem w tym wprawy. Nie wiadomo, co mogłoby z tego wynikać...

Przeskoczywszy żwawo mur, ruszyłem przed siebie pierwszą lepszą alejką.

Szedłem, choć sama ta czynność wydała mi się wówczas niezwykle dziwaczna.

Podążałem na oślep, nie wiedzieć czemu, jednak coś wyraźnie pchało mnie do tego, kategorycznie i bezwzględnie, tłamsząc wszelkie przebłyski mej psychicznej samodzielności.

W owej chwili nie było już we mnie woli, by się cofnąć, lub choćby, zatrzymać.

Może po drodze nastąpił jakiś przedziwny paraliż, który unieruchomił mnie jako niezależną jaźń duchową i zrobił ze mnie bezwolnego manekina?

Faktem było, że czułem się, jakbym realizował z góry naznaczony scenariusz, którego nie ja byłem autorem.

Napisał go kto inny.

Byłbym jednym z aktorów?

Większym czy mniejszym?

Kim?

Byłem kimś, kogo w owej chwili w sobie nie rozpoznawałem.

Czułem to wyraźnie, czułem, że nagle stałem się trybikiem w jakiejś mrocznej maszynie.

Jednak musiałem tu przyjść, musiałem postawić mą stopę na tym przedziwnym cmentarzu.

A więc i mój niewinny spacer sprzed kilku dni również nie był przypadkiem?

Nagle, ku memu zdziwieniu, zauważyłem jakieś mdlawe światelko gdzieś, przed sobą, może pięćdziesiąt metrów, może sto, majaczące w oddali lichym płomykiem, jakby wabiące mnie ku sobie...

- Co to? Czyżbym nie był tu sam?

Postanowiłem zbadać, o co chodzi.

Rozglądałem się uważnie dookoła. Żaden szczegół w otoczeniu nie wyjaśniał niczego nadzwyczajnego, czego miałbym się za chwilę spodziewać – jedynie spokój i jeszcze raz spokój...

Nie dowierzając oczom, które zdawały się zadawać oczywisty kłam moim spostrzeżeniom, postąpiłem kilka kroków dalej i wlepiłem wnikliwe spojrzenie w jasność, która tak nagle wyrosła na mej drodze do...właśnie, do czego?

Czego tu szukałem?

Po co tu przyszedłem?

Od wielu dni gnany tą potrzebą?

- Ciekawa historia. A może jest jakiś powód?

Nagle przystanąłem i zamyśliłem się. Nadrabiałem dobrą miną, lecz przyznam się, że było mi nieswojo. Moje myśli i skojarzenia miały wówczas niewiele wspólnego z logiką. Nie wiedzieć czemu, pojawiałem się nad owym cmentarzem, obserwując go z góry, w nadziei na coś, czego nie znałem. Spoglądałem na ciemną, mroczną połąć ziemi, która od wielu dni wabiła mnie do siebie, natrętnie i namolnie, jakbym miał być tu najmilej widzianym gościem...

- Pan czegoś szuka? – padło nagle pytanie, które popłynęło do mnie zza pleców.

Odwróciłem się i wnet dostrzegłem jego.

Stał tam, w cieniu jakiegoś zeschłego krzaka i bystro spoglądał w moim kierunku.

Miał na sobie szare, znoszone ubranie.

Było tak zużyte, jak cała matka Ziemia.

Jakoś niebawem odkryłem, że stoi oparty o łopatę.

Zwykłą, najzwyklejszą z możliwych.

A więc był grabarzem!

Tak!

Nie musiałem nawet pytać.

Jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze drugie i trzecie...

Wiem.

To grabarz.

Dziwny grabarz...

To pewne!

Tego dnia spotkałem naprawdę dziwnego grabarza...

On patrzył bez cienia wzruszenia ani emocji w moją stronę i uśmiechał się pod nosem.

Wyglądał jak...nikt.

Osobliwy typ...

Nie wiem, co o nim myśleć.

Nie wiem, co on zaraz powie...

Patrzy tak, jak patrzy się zza szyby albo z odległości stu metrów, kiedy to, co chce się mieć, ma się jak w garści.

On w ogóle nie patrzy, on ma tylko otwarte oczy, które ktoś skierował w moim kierunku.

Tak wyglądał, nie inaczej!

- Ma pan papierosa? – zapytałem.

On spojrzał na mnie z jakąś przewrotną radością w oku i rzekł:

- A mam.

- Można?

- A można.

- To poproszę.

- A ma pan zapalniczki?

- Mam.

- To odpalę papieroska, a i pana poczęstuję.

- Dziękuję.

Zapaliliśmy i spojrzeliśmy na siebie jakbyśmy obaj chcieli naraz coś powiedzieć.

Powiedział on:

- A palił pan kiedyś pył z kości nieboszczyka?

Zaniemówilem.

Poczułem, że robi mi się niedobrze i dym, który właśnie wciągnąłem do płuc, zaczyna palić mnie od środka i drażnić niemile gardło. Przez chwilę wątpilem, że był to tytoń...

On oparty o swą łopatę uśmiechał się dalej, paląc nieśpiesznie.

Coś mi tu jednak nie pasowało, coś kłóciło się z czystą logiką...

Dziwny grabarz, paląc papierosa i zaciągając się nim...nie wypuszczał ustami dymu!

- Pan połyka dym? – zapytałem zdziwiony i lekko przerażony.

- Ja? Ależ skądże... Niech pan tylko spojrzy – i mówiąc to otworzył szeroko usta.

Wówczas stało się coś niewytłumaczalnego – dym, który wypuszczał ustami zaczął układać się w kolejne postacie jego historii...

Kiedy tak koło mnie stał i palił, z dymu, który wypuszczał, obok niego, obok mnie, kształtować zaczęły się ni to zjawy, ni to fantomy ludzkich kształtów, żywotne i ruchliwe, jakby były ludźmi, pełnymi życia i werwy, i tylko ktoś, na moment, wyrwał je z ich normalnej rutyny, ich dnia codziennego i pchnął w inny, nowy wymiar...

W tamtej chwili ujrzałem kilka szarych postaci, unoszących się na wietrze, rozwiewnych i przeźroczystych...

- Są tu tak długo, że straciły już rachubę czasu... - rzekł nagle. – Zbyt długo przebywały tu, na ziemi...

- Kim pan jest? – zapytałem przerażony.

- Jestem dziwnym grabarzem – odparł. – Wiem, że tak mnie pan postrzega.

- Kim są te widma?

- Wiecznymi wędrowcami...

- Nie rozumiem.

- W mej historii jest wiele postaci. O wiele więcej niż te, które pan przed chwilą ujrzał.

Są Francuzi, są Niemcy, są Włosi. I ci, którzy żyli dawno temu, i ci, którzy jeszcze wczoraj należeli do żywych. W każdej chwili mogę sprawić, by stanęły tu, obok pana.

Ten dym należy do mnie. W mych ustach staje się kształtem. Jest czas, który jest moją własnością. Nie jest mi dany na zawsze. Jednak mam go na tyle długo, by móc uchodzić za solidnego „pośrednika”...

Bowiem z mych ust nie wydobywa się w nieskończoność – ona należy do kogo innego...

- To jakiś koszmarny żart? – zapytałem poważnie zatrwożony.

- Nie. Jestem postacią przejściową, kimś w rodzaju opiekuna. Me miejsce jest ani w śmierci, ani w życiu. Jest gdzieś pomiędzy. Proszę, ma pan tu panią z Grenoble, kobietę leciwą, daną mi na „przechowanie” jakiś czas temu (mówiąc to wypuścił z ust potężny kłęb dymu, z którego natychmiast uformowała się postać kobieca), mam także młodego chłopca z Alzacji, który pewnego dnia przecenił swe narciarskie możliwości i pozostał na stoku na zawsze (kolejna porcja dymu ukształtowała się w fantom młodego mężczyzny), mam ponadto dziewczynę, która zatrula się grzybami w dalekiej Japonii (ponownie z jego ust wydobył się szary dym, który wnet przybrał formę zjawy płci żeńskiej) i mam ich jeszcze tysiące...

Rzekłszy to zaczął snuć opowieść o tych, których właśnie wymienił, jakby znał ich od urodzenia i poznał każdy szczegół z ich życia. Jego wiedza zdumiewała i powalała. Tak mógł wypowiadać się tylko ktoś z najbliższej rodziny lub...właśnie, kto?

Kto mógł mieć tak idealną orientację w losach nieznanych sobie ludzi z różnych części świata? Słuchając go wiedziałem, że nigdy tego nie zrozumiem. Wszystko było jak sen przedziwny, w którym niemożliwe staje się rzeczywistością, gdzie miesza się wymiary...

Mimo że oko mnie nie myliło, wciąż czułem, jakbym ulegał tajemniczemu złudzeniu.

On powoli, jakby chciał, aby trwało to jak najdłużej, palił swego papierosa, lecz ani razu nie wypuścił już

ustami dymu...

Mówił cichym, spokojnym głosem, miękkim i półsennym, którego barwa w przedziwny sposób podziałała na mnie kojąco, co sprawiało, że chciałem go słuchać w nieskończoność. Zaintrygował mnie nie na żarty, nie wywołując w mej duszy żadnego, wewnętrznego sprzeciwu. Jego zagadkowe słowa podnieciły tylko moją ciekawość...

- Czy ten dym należy do nich? Mam tu na myśli tych wszystkich zmarłych, których pan poznał? – zapytałem niepewnie.

- To ich własność, ich symboliczne ciało. Mnie dane na czas ich „zawieszenia”...

- Czego?

- Oni byli kiedyś ludźmi, z krwi i kości. Posiadali ciała. Lecz stan, w jakim się obecnie znaleźli, to niezwykle położenie, nie jest ani cielesnością, ani formą duchową. Jest nieśmiertelną świadomością. Zaraz panu to wyjaśnię. Wtedy pan pozna całą prawdę... Chodźmy!

- Dokąd? – spytałem mocno zdziwiony.

- Tam – wskazał mi palcem jakiś wielki grobowiec. – Tam znajduje się przejście.

- Jakie przejście?

- Przejście do innego świata... - rzekł śmiertelnie poważnie, rzucając dopalonego papierosa na cmentarną ziemię.

- Przecież to tylko zwykły grobowiec!

- Tak się panu jedynie wydaje...

I wypowiedziawszy te dziwne słowa podszedł bliżej i stanął nad płytą nagrobną.

Wbił w nią swe spokojne, niewzruszone spojrzenie i wówczas stała się rzecz niesamowita, wymykająca się wszelkim logicznym tłumaczeniom, więc nawet nie starałem się ich wtenczas szukać – owa ciężka, masywna płyta zaczęła przesuwać się na lewo, powoli i bez pośpiechu, centymetr po centymetrze, odsłaniając marmurowe, lśniące oślepiająco bielą schody, jakby promieniujące własnym światłem, wiodące bez wątplenia dokąds, lecz dokąd, trudno było mi w tamtej chwili dochodzić...

Gdy wejście stało już przed nami otworem, gruba, lita pokrywa osunęła się lekko na cmentarną murawę, jakby była lżejsza od piórka i tam widziałem ją po raz ostatni...

Miałem w głowie pustkę.

Każdy miałby ją na moim miejscu.

Obserwowałem to, co dzieje się na moich oczach bez lęku i trwogi, jakbym podświadomie przeczuwał, że nic złego mnie tu nie spotka, że w dobrych jestem rękach...

- Pójdę pierwszy – rzekł grabarz i postawiwszy nogę na nagrobku, który miał około pół metra wysokości, wskoczył jednym susem na pierwszy stopień tajemniczych schodów.

Ruszyłem za nim.

Szliśmy długo i wolno, stawiając spokojnie stopy na kolejne marmurowe stopnie, jakby pośpiech w tej niezwyklej sytuacji mógł zaburzyć powagę tej niepowtarzalnej chwili, która najwyraźniej wymagała odpowiedniej oprawy i namaszczenia. Tej ciszy nie należało przerywać. Pojąłem ją jako wstęp do czegoś, z czym za chwilę stanę oko w oko.

Rozumiałem to i nie zadawałem żadnych pytań – skoro on milczał, widocznie miał ku temu ważny powód. Byłem zbyt oszołomiony całą jedyną w swoim rodzaju wyjątkowością tej sytuacji, że powstrzymałem się od zabierania głosu. Chciałem, aby on zrobił to pierwszy.

Schody zdawały się nie mieć końca – nasza po nich wędrówka trwała całą wieczność...

W końcu spostrzegłem, że zbliżamy się do jakiejś ogromnej jak świątynia, jasno oświetlonej sali, do której po chwili weszliśmy.

Nazwać ją ogromną to nie nazwać jej wcale.

Była tak gigantyczna, że nie widać było jej końca, tudzież ścian bocznych. W tych dwóch płaszczyznach nie sposób było stwierdzić, gdzie się tak naprawdę kończy. Jediną jej „cechą fizyczną” było owe wejście, którym się do niej dostaliśmy. Prostopadle do miejsca, w którym staliśmy, a więc do końca schodów znajdowało się tysiące długich, dębowych ław, solidnych i potężnych, przy których siedziały tysiące ludzi w różnym wieku, różnej płci i różnych narodowości. Wszyscy ze sobą żywo rozmawiali używając swych ojczystych języków, a pomimo to w niewytłumaczalny sposób rozumieli każde słowo swego rozmówcy. Ze zdziwieniem graniczącym z szokiem spoglądałem na całe to towarzystwo i łatwość, z jaką się wzajemnie porozumiewali. Wygalało na to, jakby mówili jednym, wspólnym językiem, choć fakty temu przeczyły. Byli jak wielka rodzina, która zasiadła nagle do wspólnego stołu... Jedni byli weseli, inni poważni, niektórzy zdenerwowani lub zasmuceni... Jak już wspomniałem, usłyszałem wszystkie języki, jakie występują na tej ziemi: był angielski, był hiszpański, był włoski, tu i ówdzie padło coś po arabsku, z innego miejsca dotarło do mnie jakieś wesoło wypowiedziane zdanie po chińsku, na które natychmiast padła równie lekko rzucona odpowiedź w języku szwedzkim... Kolejną rzeczą, jaka gwałtownie rzuciła mi się w oczy już na samym początku, był wygląd zebranych tu osób: bez wątpienia pochodzili oni z różnych epok, jaskrawo od siebie różnych i ostro kontrastujących w sferze ubioru.

Byli tu bowiem ludzie ubrani nowocześnie, według najnowszych kanonów mody, byli rycerze w srebrnych, lśniących zbrojach, oprócz nich Indianie w fantastycznych pióropuszech na głowach, pierwsi, amerykańscy osadnicy, półdżicy, bezzębni przedstawiciele ludów pierwotnych, osobnicy w bawełnianych porciętach i długich, białych pończochach, w groteskowych, bujnych perukach, siedzieli też starożytni Grecy w śnieżnobiałych tunikach, groźnie spoglądający dookoła samuraje, lotnicy z RAF-u, kucharze w białych kitlach, Prusacy w pickelhaubach, ludzie Wschodu z turbanami na głowach, niewolnicy murzyńscy, dzicz ukraińska, kowboje, samotni żeglarze, sportowcy, średniowieczni kowale, załoga czołgu, która opuściła go gdzieś, w Normandii, żywo rozprawiająca z łucznikami Wilhelma Zdobywcy, grupa huzarów, którzy przybyli tu prosto z bitwy pod Chocimiem, rozmawiająca poważnie z ofiarami masakry nankińskiej...

Wyliczać można by ich do końca świata i o jeden dzień dłużej. Nagle, w niepojęty dla mnie sposób, otrzymałem nie wiedzieć skąd i jak wiedzę, kim ci ludzie są, tzn. byli... Wystarczyło tylko spojrzeć na kogoś, by natychmiast w moim umyśle pojawiała się jednoznaczna, konkretna informacja o jego tożsamości i losach... Znałem nawet datę ich urodzin! Pomimo tego, iż było ich tu tysiące, nikt nie był mi zatem postacią anonimową. Na stołach, przed każdą z osób leżała podobnie wyglądająca księga, raz grubsza, raz cieńsza, oprawiona w czarny materiał, na którym złotymi literami wypisano imię i nazwisko oraz okres życia. Niektórzy z zebranych tu ludzi spoglądali na nią radośnie i z ufnością, inni z lękiem w oczach i zaniepokojeniem, inni zaś ze smutkiem i niemą rezygnacją... Nigdzie ani śladu jedzenia lub picia. Nie byli tu, by biesiadować. Choć nikt mi tego nie powiedział, wnet zrozumiałem, że stanem ich bytu jest oczekiwanie. Oni wszyscy byli tu niby „przejazdem”, cierpliwie czekając na to, co nastąpi potem. W owym osobliwym zawieszeniu mieli trwać, aż wypełni się ich czas... - Przejdźmy się – rzekł nagle gdzieś zza pleców dziwny grabarz. – Nie zaszkodzi popatrzeć...

Ruszyliśmy między ławami patrząc na rozmawiające towarzystwo, na ich różnorodność, odmienność i przedziwną żywotność, o którą wcale bym ich jeszcze pół godziny temu nie posądzał. Na niektórych miło by spojrzeć, inni w milczeniu patrzyli pustym wzrokiem na czarną księgę, leżącą przed nimi na stole, i nerwowo bębnilo palcami po blacie stołu.

- Czy pan chce mi coś pokazać? – zapytałem.

- A jak pan sądzi? – spojrzał na mnie jak na dawno niewidzianego przyjaciela, któremu ma się wiele do powiedzenia i należy zrobić to jak najszybciej, gdyż wymaga tego sytuacja.

- Sądzę, że tak.

- To ma pan rację. Rzeczywiście chcę coś panu pokazać. W zasadzie MUSZĘ... NIE JEST TO KWESTIA WYBORU. WŁAŚNIE PRZESTAŁA NIĄ BYĆ. TO COŚ OD, CZEGO NIE UCIEKNIEMY JUŻ OBAJ...ANI PAN, ANI JA. W TEJ CHWILI STAŁO SIĘ JUTRO.

- Musi pan? – zaniepokoiłem się nagle.

- Chyba tak to należy nazwać... Przecież nie zaprosiłem tu pana przypadkowo. Nie takie były me intencje. Coś takiego, jak przypadek, nie istnieje. Nie wiedział pan? - rzekł tajemniczo spoglądając na mnie, jakbym grał z nim w jakąś moją grę, którą on nagle przejrzał.

- Pan napawa mnie lękiem.

- E tam, zaraz lękiem. Ktoś mądrzejszy niż pan i ja wymyślił to wszystko.

Spoglądałem z narastającym niepokojem na rozgadane postacie, siedzące przy dębowych ławach i zastanawiałem się, dokąd mnie prowadzi, jaką niespodziankę dla mnie szykuje, gdyż nagle poczułem, że najzwyczajniej zaczynam się bać – ja, człowiek odważny.

Ogarnęła mnie mroczna fala przerażenia...

- To bardzo długa sala, długa, jak ludzkie życie. Musimy trochę podreptać. Niech pan mi wybaczy te trudy. W tej sytuacji to naprawdę konieczne... - zakończył zagadkowo.

- W jakiej sytuacji? O co tu chodzi? Czuję się jak bohater powieści Franza Kafki. Czy zrobiłem coś nie tak? Czy mam coś na sumieniu? Słucham! Co tu jest grane?!

Nagle zatrzymał się i spojrzał na mnie spokojnie:

- Nic specjalnego. Zwykła rutyna. Nie ma potrzeby zaraz się irtować. Każdy musi ją zaakceptować, bowiem nie ma innego wyjścia. Tak to już jest. Tego nie stworzono wczoraj, to trwa już bardzo, bardzo długo...

Teraz ja poczułem, że mam tego dość.

Krew uderzyła mi do głowy.

Czułem się, jak zwierzę schwytany w przemyślną pułapkę.

- Póki co chodzimy wzdłuż tych ław i nadal nie wiem, w czym biorę udział! Czy mam nagle zapalać do tego pogodnym zadowoleniem i po powrocie do domu wypić za twoje zdrowie kielich czerwonego wina? – zawołałem rozeźlony, bowiem nie otrzymywałem odpowiedzi na moje pytania.

- Czyniąc zadość obowiązкови, jakim obarcza mnie ta okoliczność, pozwolę sobie odmówić.

Nie pijam alkoholi. To nie w moim stylu. Nigdy nie było i nie będzie...

- Zatem gdzie idziemy?

- Zobaczysz.

- Nie zaspokoisz mojej ciekawości?

- Zaspokoją wszelką stosowną ciekawość.

- Kiedy?

- Już niedługo. Jeszcze tylko kilkadziesiąt ław i kilkadziesiąt żywotów ludzkich.

- Chcę wracać do domu. Jestem tu w gościach. U rodziny. Od lat ich nie odwiedzałem. Pewnie niepokoją się o mnie. Już długo przebywam poza domem. Muszę wracać, natychmiast! Dajmy spokój tej maskaradzie!

- Nie. To nie tak.

- Nie rozumiem.

- Myślisz, że masz omamy? Że to nie dzieje się naprawdę? Że to zwidy jakież?

- Tak! Tak właśnie się czuję i nie mów mi, że masz rację!

- Mam.

- Nie.

- Zakład?

- O co?

- O nic.

- Dlaczego?

- Bo coś ci zaraz pokażę. Popatrz na to uważnie... - i mówiąc to pokazał mi puste krzesło, które stało gdzieś, wśród innych żywo dyskutujących tu ludzi, samotne i nieposiadające jeszcze właściciela, wykonane ze smutnego, ciemnego drewna.

Spojrzałem na nie bezpłciowo i zapytałem:

- Może konkretniej?

- Puste.

- Tak, puste, no i co?

- A nie wiesz przypadkiem, czemu?

- Absolutnie. Nie mam zielonego pojęcia.

- Żartujesz?

- Nie.

- Naprawdę nie domyślasz się?

- A muszę? Powinienem?

- Nie, bo w twoim położeniu nikt takiej wiedzy nie posiada. Nagle zmieniasz wszystko, co dotąd cię kształtowało i pojawiaasz się tu...

- Gdzie?

- Na tej sali.

- Co masz na myśli?

- Zajmujesz jedno z pustych krzeseł...

- Czemu?

- Bo nie jesteś panem swego losu.

- Każdy to robi?

- Każdy.

- Skąd masz tę pewność?

- Z praktyki, która nie zaczęła się wczoraj, ani pięć lat temu.

- Więc i ja mam swoje miejsce? – zapytałem ni to przerażony, ni to podniecony tą wiedzą.

- Tak. Przecież widziałeś już swoje puste krzesło... – odpowiedział beznamiętnie.

Wtedy podeszliśmy w miejsce, gdzie je ustawiono i zapadała cisza, której żaden z nas nie chciał przerwać.

On jednak zrobił to po swojemu...

- Zapalisz? – zapytał.

- Tak – odparłem.

- Masz zapalki?

- Mam.

- To podpal mi – i rzekłszy to podsunął mi swego papierosa pod nos.

Zrobiłem to, o co prosił.

- To dobry tytoń, nie kupisz takiego nigdzie na świecie... - powiedział uśmiechając się podejrzenie. – A wiesz, dlaczego?

- Nie – odparłem szczerze.
- Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy?
- Nie – powtórzyłem.
- Nie żartuj?
- Nie żartuję.
- Bo to nie tytoń, chłopcze...
- A co?
- To! Spójrz...

Wtedy zaciągnął się mocno swym papierosem i po chwili wypuścił ustami potężny kłęb dymu. Wyraźny, gęsty i zawiesisty. Niespotykany w normalnym życiu. Wyglądał jak grzyb po wybuchu atomowym. Żaden palacz nie był w stanie tego dokonać. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, jak żyję. Był tak szary, że przez chwilę nic poza nim nie widziałem. Poczułem się, jakbym spadał gdzieś w dół, na złamanie karku... Wokoło był tylko ten zaduch, coś, na co nie miałem określenia. Coś dławiło mi gardło, drapało przełyk niewidzialnymi pazurami, jakby mi wtłaczono do ust gazy bojowe.

Unosił się długo w powietrzu i wnet wyczułem, że nie ma woni tytoniu...

Zbyt dobrze ją znałem.

Poczułem smród palonych ludzkich kości, smród obrzydliwy i odrażający.

Jakby ktoś palił kupę zeschniętych szkieletów, polanych benzyną.

- Jesteś już gotów? – zapytał nagle.

- Na co?

- Na to! – i wypowiedziawszy te słowa wypuścił ze swych ust potężny, szary kłęb dymu, który szybko uformował się, wyraźnie i dokładnie...w moją postać.

* * *

Wtedy obudziłem się z krzykiem na podłodze...

Świtało...

Powitał mnie ponury, zimowy poranek.

Deszczowy i ohydny, kojarzący się natychmiast ze śmiercią.

Kołdra leżała gdzieś obok, zmiędlona do granic możliwości.

Poduszkę nieświadomie rzuciłem gdzieś w kąt pokoju z taką siłą, że przewróciła się od tego lampka nocna.

Zlany byłem zimnym potem, który tak przesycił mą piżamę, że wyglądała jakbym w międzyczasie wpadł do głębokiej rzeki, która choć była fikcją, naprawdę dała mi nieźle popalić.

Co za koszmarny sen!

Co za paskudna historia!

Jednak wszystko to, co właśnie przeżyłem w innym wymiarze, nakazało mi niezwłocznie spisać tę historię „na wszelki wypadek”, gdyby dane jej było mieć ciąg dalszy.

Oddałem na papierze wszystko to, co widziałem i doznałem w krainie snów.

Pozostawiam zatem ślad po tej dziwnej nocy.

Zbyt złowieszczo to wyglądało, by wypuścić to drugim uchem.

Zaledwie dwa dni temu przyjechałem tu, do tej miejscowości, do moich kuzynów.

Są to mili, gościnni ludzie.

Lubią dobrze zjeść i porządnie popić.

Nie widzieliśmy się od lat.

Chcę spędzić z nimi tydzień, może dwa.

Mocno się za sobą stęskniliśmy – tyle mamy sobie do powiedzenia.

Zaraz zejdę na dół, gdyż mieszkam na pierwszym piętrze.
Już prawie południe, czas się pokazać, czas coś zjeść.
Nie wiem, co mi kazało kupić na dworcu kolejowym zwykły, szkolny zeszyt, w przypiływie jakiegoś dziwnego olśnienia, w którym opisałem to, o czym właśnie tu opowiadałem.
Już wtedy, wysiadając z pociągu, poczułem taką potrzebę – utrwalenia czasu, który tu spędzę, spisania każdej, małej myśli.
Za chwilę zjemy śniadanie, potem obiad, a później...później przejdę się na spacer!
Nawet wiem, gdzie.
Choć nie znam prawie wcale tego miasteczka, wiem już, w którą uliczkę skręcić.
Wiem ponadto, że to zrobię.
Nie oprę się temu, bo nie mam siły.
Ta potrzeba zawładnęła mą wolą i wiem, że się jej podporządkuję.
Pójdę tam niebawem...
Potem poszukam sklepu z artykułami domowymi...

Chcę stanąć twarzą w twarz z dziwnym grabarzem.

9 stycznia 2011

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 22.03.2012 10:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.